Rozmaitości

DNIA 31. PAŹDZIERNIKA Ner 44. 1835 ROKU.

ZNAIRA.

POWIEŚĆ AFRYKAŃSKA.

Z dzieła przeszł. roku wyszłego w Paryżu: *Tunis, Nouvelles africaines; par J. L. Lugan.*

Pośród oazy, upięknionéj rozkoszną wegetacyją, któréj powab o wiele jest powiększony blizl ością morza, leży małe tunetańskie miasto Nébel, opasane gaikami i ogrodami. Przybywając do tego miasta od Tunetu, droga prowadzi przez zaspy piasczyste, z których używać można widoku najrozkoszniéjszéj okolicy wiejskiéj. Pod niebem najprzyjemniéjszém, pomiędzy ogrodami i palmami, wyżéj jeszcze jak minarety okolic, wystaje miasto Nébel. Swiéże wietrzyki, przewiéwając po gaikach pomarańczowych i po dużych, jasminém i różami okrytych płaszczyznach, najmilsze wonie zanoszą do podróżnego, zachwyconego widokiem okolicy. Jeźli jeszcze przypadkiem biały żagiel na dalekim widnokręgu zabłyśnie i okręt, marszcząc gładkie morza zwierciadło, ku brzegom zdąża; natenczas zaspakaja się najbardziéj nawet wzniecone oczekiwanie. — Miasto Nébel, którego widok z daleka tak śmiejący się przedstawia obraz, i wtedy nawet nie zawodzi oczekiwania naszego, gdy je bliżéj poznamy, bo każdy kto tam bawił, niechętnie tylko opuszcza to miasto. Jestżeto piękność i ponęta kraju, co tak łagodny wpływ wywiéra na obyczaje mieszkańców, alboli może dawniéjsi mieszkańcy, starożytni Maurowie Grenady, zaszczepili w tym kraju smak do rozrywek i kwiatów?

W pamięci teraźniéjszych mieszkańców miasta Nébel nie żyje już więcéj owa potężna Grenada, lecz Grenada piękna i spaniała. Z dawnych obyczajów została im tylko chęć używania życia. Nie noszą ciężkiéj broni, ale się stroją kwiatami; nie łamią włoczni ku czci pięknych kobiét, lecz dotąd jeszcze głoszą u nóg ich skargi miłosne w balladach; a wszakże kobiéty nébelskie są najpiękniéjsze i najognistsze z całego tunetańskiego państwa.

W Néblu pielęgnują jasmin i białą różę, z których *alszyry* (niewolnice) haremu robią owę sławną w świecie essencyję. Tysiące ogrodów, otaczające miasto, nie są jeszcze dostateczne dla mieszkańców; dom każdy ma swoje kwatéry z kwiatami i wonność wydające akacyje. Kobiéty nie wychodzą z domu bez bukietu w ręku. mężczyzni zdobią turbany jasminem i wszędzie rozdają kwiaty.

Ubior kobiét Néblu odpowiada słodkim ich obyczajom, na czém wszakże smak ich i chęć podobania się zyskują. W Tunecie obładowane są kobiéty haftowanémi sukniami; nie widać ani twarzy, ani kibici; oko nie może przedrzéć się przez massę złota i jedwabiu. W głębi kraju zaś noszą kobiéty arabskie, prostą, aż do kostek spadającą i po bokach podpiętą tunikę z krótkiémi rękawami.

Kobiéty Néblu okrywają się szeroką, wełnianą, jak śnieg białą szatą, która w sposobie jak najprzyjemniéjszym robiąc ich postać wydatną, aż do kostek sięga. Koniec téj szaty noszą w ręku dla zakrywania twarzy, albo raczéj, aby najwykwintniéjszém zalotnictwem w poruszeniach, ile możności najpiękniéjszych, odsłaniających niekiedy swoje piękne ramiona, bądź pokazywać, bądź zakrywać oblicze. Chodzą zawsze boso, ale ponieważ drogi w samym Néblu, jak i w okolicy, najdelikatniéjszym i najczystszym okryte są piaskiem, nie widać więc najmniéjszego zabrudzenia na ich ładnych nóżkach.

Leopold, młody Francuz, mieszkający od niejakiego czasu w Tunecie, przybył do Néblu dla zabawienia w nim kilka dni, zwabiony wieścią

przyjemności miasta tego. Mieszkał u Sidy Ahmeda, pochodzącego z jednéj z najstarszych rodzin kraju; u prawdziwego patryjarchy, którego życie było jedném z najprzyjemniéjszych jakie tylko prowadzić można. Lata zmieniły rysy twarzy jego, nie oszpeciwszy ich; w tém się tylko odmienił, że mu broda posiwiała. Z siłą mężczyzny i ze szczątkami znakomitéj piękności, łączył spaniałość, a nawet można było powiedzieć, przyjemność starca. Widząc dom jego w Néblu, można było powziąć dokładne wyobrażenie obyczajów kraju, zupełnie mu właściwych, mieć pojęcie o pomieszaniu zwyczajów tureckich z arabskiemi, wreszcie o zbytkach nowych czasów, a prostocie dawnych. Na piętrze, w pokojach spanianych, widziano wyzłacane posadzki, materyje jedwabne, aksamit i marmur w obfitości; zgraja służalców, Mameluków, Murzynów i Murzynek, kobiét i młodych *alszyrek* składała niejako dwór jego, gdy tymczasem na dole, w obszérnych sieniach stała zawsze liczna trzoda owiec, przez którą jakoteż przez grupę Beduinów, czekających na posłuchanie pana swojego, trzeba się było przeciskać, chcąc dostać się do wschodów, prowadzących do spaniałych gmachów. W południe zamykał się Sidy Ahmed w haremie swoim, w którym dziesięć młodych dziewic utrzymywał. Spuszczano wtedy kitajkowe firanki, tak, że tylko słabe promienie światła wciskały się przez kolorowe szyby. Muzyka i taniec chwil kilka jeszcze zabawiały starca, nareszcie znużony zawiérał do snu powieki i odtąd głęboka cisza panowała w haremie aż do wieczora. Pomawiano Sidy Ahmeda, iż dźwigał więzy pięknéj Amudy, będącéj najbielszą pięknością haremu, lubo pochodziła z krainy daktélów, z plemienia koczowniczego Zerythu. Dla przypodobania się szczęśliwemu Ahmedowi okrywała twarz swojemi pięknémi czarnémi włosy, a wtedy błękitna gwiazda, jaką podobnie wszystkim dziewicom plemienia swojego nosiła na czole, nadawała jéj licu powab nieporównany. Wieczorem usiadał stary Maur przed drzwiami swojego domu, kazał ulicę wodą pokropić, poufale rozprawiał z swojémi ludźmi lub z przechodzącymi, dawał Beduinom posłuchanie i zabawiał się patrząc, jak jadły przyprowadzone przed niego owce.

Sidy Ahmed, który tak towarzysko całe życie swoje w domu własnym przepędził, był przeto samo charakteru przystępnego i przyjemny w obcowaniu. Z rysów twarzy jego przemawiała dobrotliwość, a twarz tak szczéra nie kłamie. Leopold polubił go zaraz pierwszego dnia przybycia swojego do Néblu; dobry ten moslemitanin bowiem był we wszystkiém otwarty, a przytém nader oględny w postępowaniu, i dom cały ofiarował na usługi swojego gościa, wyjąwszy gmachy zwane *kaza*, tak mianował pokoje kobiéce, bo do téj świątyni oprócz niego mieli tylko przystęp bardzo młody Mameluk i Murzyn, obaj słudzy jego. Sidy Ahmed lubił pogadankę; po obiedzie szczególnie wyszukiwał swojego gościa Leopolda, by z nim rozmawiać w tak zwanym języku Franków, jak nazywał język włoski. Lubo nie bardzo surowo trzymał się przypisów Mohameda, nie pił jednak podczas stołu czerwonego wina, lecz gdy wety dawano, które osobliwie lubił, a które składały się z przepysznych cukrów, ciast z pistacyjami, granatów, świéżych dakteli i t. p., spijał delikatne, żółte jak złoto, wino hiszpańskie. Wina tego pił dobry staruszek nie mało, zwykł bowiem mawiać, że takie wino nie uciska serca. To prawda, że nie uciskało serca, lecz rozléwało ogień po krwié starca i policzki jego krasiło lekkim rumieńcem. Leopold nie mógł wtedy napatrzéć się na piękną głowę starca, na jego to raz dziecięce, to znowu majestatyczne rysy twarzy, aż dopokąd nie podniósł się starzec i raźnym krokiem nie odszedł do haremu. Smutnie pogląduąwszy za nim Leopold, udawał się na brzegi morza dla używania świéżego powietrza.

Leopold poznał u Sidy Ahmeda pewnego młodego moslemitanina, imieniem Sidy Ali, człowieka łagodnego i przystępnego charakteru, i wkrótce obaj młodzi ludzie zostali przyjaciołmi. Wielką część dnia spędzali z sobą i robili konno dalekie wycieczki w okolicę. Młody Francuz szukał starych napisów; w takich podróżach towarzyszył mu Ali, nie najwięcéj jednak zajmując się podobnémi odkryciami. Chociaż dzielił nie raz radość przyjaciela swojego z jakiego szczęśliwego odkrycia, czyniłto nie pojmując przyczyny téj radości. Nie wiedział, że kraj ten należał dawniéj do Kartageńczyków i Rzymian, mówiono mu tylko o chrześcijanach i moslemitanach. Podczas gdy Leopold wdziérał się aż do

piwnic ruin i krzątał się po sklepieniach, siedział Ali pod cieniem drzewa na dywanie i słodkim oddawał się marzeniom, dopokąd badacz starożytności, uradowany, jak dziecko, nie wrócił z ułamkami tablic marmurowych, posągów lub gzémsów, albo z jakim starożytnym napisem w pularesie, o czém wiele pięknego umiał rozpowiadać, czego jednak młody Maur nie rozumiał. Gdy Leopold tym sposobem zwiédził nakoniec całą już okolicę, uczuł to w Neblu także, co tak często czuł dawniej w Tunecie, że ani przepych widoków, ani prześliczne niebo, ani wszelkie rozrywki nie były w stanie utłumić tęsknoty, obudzającej się w jego sercu. W Neblu, gdzie wszystkie kobiéty tak są powabne, gdzie się tak zwodniczo i tak zachęcająco uśmiéchają, zdawało się wprawdzie, że tylko wybrać należało, ażeby być szczęśliwym w miłości; ale szczęście takie dla moslemitanów tylko, nie zaś dla chrześcian przeznaczone było, bo w Neblu, równie jak w Tunecie, owę nieszczęśliwą niewiastę, która w miłość wchodziła z niewiernym, bez względy zaszywano w wór i wrzucano do morza. Często nasz biédny młody przyjaciel dla uczynienia ulgi swojemu sercu odzywał się do Alego: »Nébel jest pięknym krajem dla ciebie, lecz nie dla mnie.« Ale Maur nie rozumiał go i zwykle odpowiadał: »Słońce, morze i drzewa są dla każdego, i mniemam, że tu są tak samo piękne, jak w twojej Francyi.« — »Słuchaj mnie,« odrzekł Leopold na to; »gdym przybył do Tunetu, byłem zdziwiony, zachwycony wszystkiém, co widziałem. Owo bogactwo i owa rozmaitość obcych dla mnie ubiorów, ta różność plemion ludzkich, te spaniałe meczety, bazary pełne przepychu, owe obyczaje łagodne, ta chęć zarobkowania i miłość do pracy, które tam znajdowałem, gdziem mniemał znaleźć barbarzyństwo i gnuśność; wszystkoto tak mocno mię zastanowiało, jak bardzo cieszyło w duszy. Przybyłem właśnie ku końcowi *ramazanu*, podczas świąt waszych; całe miasto ozdobione było szalami i banderami, wszędzie snuły się masy świątecznie ubranego i wesołego ludu. Pogoda była prześliczna i sam jeden przechadzałem się pomiędzy Arabami, Murzynami i Maurami, którzy po ulicach się snuli. Tunet wydał mi się wtedy całkiem w owych świetnych kolorach, w jakich zawsze Wschód sobie wyobrażałem. Piękne kobiéty, którym wtenczas wolno jest wychodzić, zdybywałem wszędzie, to po ulicach, to w ogrodach, to za obrębem murów miejskich. Dnia pewnego szedłem za całym ich orszakiem, udającym się przez bramę Solimana. Skoro wyszedłem za obręb miasta, widziałem je tysiącami rozsypane po gościńcach, na dużym cmentarzu, na dolinach i na szczycie wzgórza, panującego nad miastem. Wiedziałem, że odwiédzają groby swoich krewnych i także miejsce *marabutem* zwane, gdzie pochowany jest pewien święty, niezmiernie czczony w Tunecie. W tych, przez cały rok zamkniętych niewiastach, widać było wewnętrzną radość, z jaką oddawały się pozwolonej im w dniu tym wolności. Towarzyszyły im Murzynki, lecz ani jeden moslemitanin nie znajdował się między niémi. Nie jestem w stanie opisać ci przenikających mię uczuć, gdy się pomiędzy témi niewiastami znajdowałem. Powietrze było łagodne, ony, będąc oddalone od miasta, opodal od spojrzeń swoich panów, nie wahały się poodkrywać twarzy i śmiało w około poglądały. Ileżto pięknych widziałem tam kobiét! Wprawdzie były w ogóle cokolwiek blade, lecz ożywione pełnémi wyrazu oczami. Kilkakrotnie patrzały na mnie wzrokiem znaczącym, a widząc te ich bystre i rozkoszy pragnące oczy, te ich usta w połowie otwarte, miłością i zapałem tchnące; pojmowałem, dla czego moslemitanie tak troskliwie kobiéty swoje zamykają. Widowisko to było dla mnie równie nowe, jak powabne; niewiasty przechadzały się, siadały, lub wdziérały się na wzgórze; wszędzie tworzyły się grupy, podobne do koszów z kwiatami, z powodu różno-barwnych sukień. Leżące po lewéj stronie jeziorko, gładkie jak źwierciadło i małémi przerzynane łodziami, podwyższało piękność okolicy, najciekawszym jednak widokiem dla mnie był duży cmentarz z swojémi ładnémi grobowcami, gdzie nawet kości ubogiego człowieka pod kamieniem spoczywają, a nie zaś, jak gdzie indziéj, pod bodziakami i chwastem, i gdzie właśnie niewiasty przechadzały się pomiędzy groby z głowami spuszczonémi ku ziemi. Wyobraźnia moja rozkoszowała we wszystkiém, co Tunet najpiękniéjszego zawiérał, wkrótce jednak uczułem czczość, zwykle następującą po prze-

syceniu. Skończyły się święta; często jeszcze chodziłem za bramę Solimana, ale nic nie widziałem, tylko upałem ziejące słońce i białawy piasek, wzburzony kopytami wielbłądów. Wzgórze było puste i opuszczone, a na grobach siedziało tylko kilka ubogich płaczących niewiast. Mojéj tęsknocie jedynie nocy sprzyjały, a widząc kobiéty, jak cienie pojawiające się i znikające po tarasach, tém boleśniéj czułem, czego mi niestawało. Byłem samotny i opuszczony, zostawały mi tylko spomnienia z Francyi, i podobnie starcowi przeszłością tylko żyłem. Czy pojmujesz teraz dla czego mi się w twoim pięknym kraju nie podoba?« — Ali z uśmiéchem ścisnął przyjaciela za rękę i odrzekł: »Jak powrócisz do Francyi, użal się przed chrześcijankami twoich ciérpień i powiedź im, że tylko wierność twoja ku nim była tych ciérpień przyczyną.«

Leopold po téj rozmowie zapadł znowu w posępny humor. Chętnie sam jeden przechadzał się po brzegach morza, a gdy spotkał zakochaną parę, tym smutniéjszy wracał do domu. Na raz jednak zniknął ten smutek, rysy twarzy jego wypogodziły się, a na ustach znowu uśmiéch zakwitnął. Wnet postrzegł Ali tę zmianę i łatwo mógł domyśléć się jéj przyczyny. Jakaś istota niewieścia musiała zrządzić tę zmianę i tak było w rzeczy saméj.

»W moich snach młodości,« rzekł Leopold dnia pewnego do swojego przyjaciela, »utworzyłem sobie kraj czarodziéjski, godny być ojczyzną piękności, jaką sobie wyobraźnia moja odmalowała. Tym krajem jest Nébel, a piękność znalazłem także; jestto anioł, *hurysa!* Czém jest świat cały w porównaniu z Neblem i tą dziéwczyną!«

Gdy Leopold pewnego pięknego poranku jechał, jak zwyczajnie, ku brzegom, siadłszy z konia, przechodził środkiem indyjskich drzew figowych, które ładny *marabut* (grobowiec) Sidy Mussy otaczały. Chciał odpocząć pod cieniem trzech palm, zwanych: »trzema braćmi,« a w tém usłyszał za sobą otwiérające się drzwi i z bardzo nizkiéj, całkiem prawie gałęzistémi drzewami zakrytéj chatki, wyszła dziewczyna z twarzą odsłonioną, z obnażonémi ramiony i nogami. Włosy jéj były z tyłu związane złotem haftowaną wstążką i miała na sobie tylko pomarańczową tunikę, zaledwo do kolan sięgającą. Bez bojaźni przeszła koło Leopolda, weszła w środek *marabutu* i wkrótce wróciła trzymając w rękach jedwabne chorągiewki, które zatknęła u drzwi świętego grobu. Byłto piątek, dzień świąteczny moslemitanów. W dniach tych na Wschodzie zdobią chorągiewkami meczety, bramy miast i *marabuty*. Przejęty podziwem Leopold chętnie byłby przemówił do pięknéj wyznawczyni islamizmu, ale usta odmówiły mu téj przysługi. Lecz w chwili, gdy dziewica już wracała do chatki, opamiętał się i wołał za nią: »Młoda dziewico! mam pragnienie; czy nie dałabyś mi trochę wody?« — »Nié mam innéj wody, tylko wodę świętego,« odrzekła łagodnym, lecz nieco drżącym głosem i wróciwszy do *marabutu*, napełniła wodą naczynie, którego piérwéj Leopold nie postrzegał i podała mu wodę, którą gościnni Maurowie stawiają dla przechodzących u drzwi domów swoich, a którą podróżny czasem nawet w *marabutach* znajduje. Z żywém poruszeniem przyjął Leopold czarę z rąk młodéj dziewicy; miał teraz sposobność przypatrzenia się dobrze oczom, czołu i każdemu rysowi tego anielskiego oblicza. Zdziwiony był zaufaniem pięknéj Maurytanki, która bez wątpienia czuła się być bezpieczną pod opieką świętego, i myśl ta napawała go ku niéj uszanowaniem. Nie śmiał ani zbliżyć się do niéj, ani dotknąć się jéj ręki; lecz gdy zabiérała się odejść, rzekł do niéj głosem drżącym: »Kraj twój czarujący; wszystko, co się w nim znajduje, podobać się musi, lecz nic nie widziałem dotąd, coby z tobą porównane być mogło. Wszędzie podawano mi bukiety, lecz chętnie dałbym je wszystkie za najmniéjszy kwiatek z twéj ręki.« Gdy tak mówił wlepił oczy w równiankę z jasminu, która w kształcie półksiężyca obwodząc jéj włosy, aż ku skroniom spadała. Młoda dziewica zarumieniła się, spuściła w dół duże oczy swoje i rzekła oddalając się: »Słowa chrześcijan są słodkie, ale nam nie wolno ich słuchać.« Zaledwo z wielkim dla Leopolda żalem uczyniła kilka kroków ku domowi, gdy kwiaty z jéj głowy spadły na ziemię. Rzucił się na nie Leopold; gwałtowne jego poruszenie przestraszyło dziewczynę, krzyknęła, i jak ptak uciekła. Przy drzwiach raz jeszcze obejrzała się, raz jeszcze popatrzyła na Leopolda i zniknęła. Długo stał Leopold w myślach zanurzony, a gdy przyszedł do siebie, zdawało mu się,

że to zjawiskiem było. W marzeniach wracał do miasta, wszystkie szczegóły zdarzenia swojego raz jeszcze przywoływał na pamięć i łamał sobie głowę, ktoto była ta młoda dziewczyna, żyjąca tak samotnie pod opieką świętego i jego usługom poświęcona. Nazajutrz przebrał się po maurytańsku i skoro tylko wieczór nadszedł, udał się do *marabutu*. Już zbliżał się do otaczających to święte miejsce zarośli, gdy z miłém wrażeniem usłyszał tony lutni, towarzyszącéj spiéwowi młodéj dziewicy. Usiadł za krzakiem, odgiął gałęzie drzewiny i widział w cieniach wieczora, jak piękna Maurytanka z lutnią w ręku i z założonémi na krzyż nogami, siedziała na progu swéj chatki. Pieśń jéj z początku była tylko wylaniem marzącéj duszy, ale głos jéj stał się wkrótce silniéjszym i zaspiéwała baladę, w któréj powracający z Grenady rycérz maurytański opiéwał upadek miasta i zwycięztwo chrześcijan nad moslemitanami. Ostatnie tony spiéwu przebrzmiały w łagodném powietrzu wieczora, gdy księżyc zajaśniał na niebie i srebrném światłem swojém, przekradającém się przez liście drzew, oświécił twarz dziewicy, któréj łzami napełnione oczy zwrócone były na pół-księżyc *marabutu*, błyszczący ogniem światła miesięcznego. W téj chwili dał się słyszéć tupot kroków. Dziewica natężyła słuch i gdy zbliżały się kroki, raźnie podniosła się z miejsca. Maurytanin wysokiego wzrostu wyszedł z zarośli. Chód jego był dumny i wymierzony, a po jego dużym pąsowym turbanie można było poznać, że to był moslemitanin, który odbył pielgrzymkę do Mekki. »Bóg niech cię ma w opiecę swojéj Znairo!« rzecze Maur tonem uroczystym. »Jestem posłuszną niewolnicą twoją,« rzekła i zawoławszy przelękniona: »To on!« chciała uciekać. Leopold porwał ją za rękę i wstrzymał: »Poznałaś mię, piękna Znairo!« rzecze, »to on, zawołałaś. O! powiedź mi, azali wyraz ten, który się wymknął z ust twoich, pochodził z serca twojego? Byłażto bojaźń, podająca go tobie, lub jakie inne, delikatniéjsze uczucie? Cóżkolwiekbądź, oby wyraz ten nie miał na dal innego znaczenia, jak tylko to: że to ten był, którybу za ciebie oddał tysiąckrotnie życie swoje, który cię aż do uwielbienia kocha, i który dla ciebie o reszcie świata zapomina.« Leopold mówiąc te słowa ścisnął za rękę drzącą dziewicę, która stała ze spuszczonémi oczyma i z bijącém sercem. Może byłaby go czułém spojrzeniem, miłém słówkiem uszczęśliwiła, ale w téj chwili dał się słyszéć odgłos z poblizkiego minaretu: »Bóg jest wielki, Bóg jest litościwy, zwróćcie się do Boga!« — »Chrześcjaninie!« rzekła Znaira, odzyskawszy znowu zwykłą spokojność swoję, »słyszyszli głos ten z góry? On przypomina mi Boga i godzinę modlitwy.« To powiedziawszy wymknęła rękę swoję z rąk jego i uciekła do chatki. Leopold byłby chętnie złorzeczył temu uroczystemu głosowi, jeszcze mu w uszach brzmiącemu, lecz mimowolnie uczuł się być czcią przeniknionу, gdy na raz owe święte wyrazy dały się słyszéć ze wszystkich minaretów w około. W słodkich zatopiony marzeniach słuchał tych zewsząd odzywających się głosów, a w tém młoda dziewica pokazała się na małéj wieżyczce swojego domku i wzniosłszy głowę ku niebu, rzekła czystym melodyjnym głosem te słowa: »Bóg jest wielki, Bóg jest litościwy, zwróćcie się ku Bogu!« Podobna była do anioła, co otoczony światłem, właśnie spuścił się z nieba, ażeby wnet na powrót odlecić. Czy miłość to była, lub prawdziwe uczucie religijne, dosyć, że Leopold padł na kolana, jak gdyby był moslemitaninem.

Leopold opowiedział przyjacielowi swojemu w takich wyrazach swój przypadek, że ten aż nadto dobrze poznał, jak głęboką była rana w sercu młodego człowieka. Smutnie wstrząsł głową i rzekł: »Wierzaj mi Leopoldzie, kocham cię, jak brata swojego, ale dla tego samego zaklinam cię, porzuć tę dziewicę. Ojciec jéj pochodzi z rodziny starożytnéj Maurów Grenady, jest synem świętego męża, który w owym *marabucie* pochowany i sam jest w wielkiém znaczeniu. Gdy przed kilką laty przeciągając okropna burza przez miasto nasze, pustoszyła wszystko w około; ulemowie i inni pobożni mężowie Neblu, wszedłszy na minarety, błagali nieba; lecz burza srożyła się tym bardziéj jeszcze. Hazzuz wstąpił także na swoję wieżyczkę i zaledwo rozwinął przyniesiony z Mekki turban, gdy deszcz ustał, rozrzedły chmury, a rozpostarty turban zabłysnął w promieniach słońca, jak bandera na maszcie okrętu. Turban ten, jak widziałeś, nosi zawsze jeszcze, gdy po dolinach prze-

chodzi, bo co ośm dni idzie pieszo z Neblu do Hamametu, zaklina bałwany rzék i obłoki, i wzywa dla kraju tego opieki Boga. Beduini spostrzegłszy go opuszczają namioty i wychodzą całować szaty jego; przeto usłuchaj mię, przyjaciela twojego, który ci jak najlepiéj życzy i wybij sobie tę dziewczynę z głowy.«

Wyrazy te jak najboleśniéj dotknęły Leopolda, miłość jego bowiem posępnémi chmurami okrywać się zdawała. Nie mówił więcéj z Alim o uczuciach swoich, ale dla tego też właśnie namiętność jego, którą w sobie tail była tym gwałtowniéjszą i bardziéj niszczącą. Często jeszcze chodził do *marabutu*, ale już nie widział młodéj dziewicy. Niekiedy także zdybywał Maura na wiodącéj w doliny drodze, którą mu był Ali opisał. (Dokończenie nastąpi.)

KILKA UWAG
O DZIEŁKU: RUSKOJE WESILE,
opysanoje czerez J. Łozińskoho.
Przemyśl, 1835; w 8ce, str. 153.

Każde zjawisko w świecie literackim, które wykrywa to, co przez długi przeciąg leżało pod zasłoną przesądu i niewiadomości, lub co piérwszy krok stawia w jakiéj pożytecznéj reformie, zasługuje na powszechną wdzięczność. Świeżo wyszłe dziełko j. k. Łozińskiego śmiało mieścić można w rzędzie pism szczycących się taką wartością. Autor zebrał pieśni weselne gminu ruskiego, własném staraniem i z cudzych zbiorów, uporządkował je, dołączając opis każdego obrzędu i zwyczaju, co stawia nam zajmujące panorama ruskiego wesela. Piérwsza rzecz, która w téj książce uderza i mile pociesza, jest, iż wydawca, lubo dziełko pisane jest w narzeczu ruskiém, użył czcionek łacińskich, i wprowadził pisownię, która mu się najdogodniéjszą być zdała, chociaż nie wyłuszczył gruntownych onéjże przyczyn. Widno, iż wydawca pojął bardzo dobrze, jakąby śmiesznością się okrył, gdyby był obstawał przy tém, co najbieglejsi europejscy lingwiści i filologowie obalić usiłują, rozumiém tu zachowanie kirylicy. Jeżeli bowiem piérwszy Volney w dziełku: Alfabet europejski, zastosowany do języków azyjatyckich r. 1819; jeżeli teraz Schleiermacher w uwieńczonéj rozprawie o Alfabecie harmonijnym, zamierzyli dla wszystkich wogóle języków, zaprowadzić głoski rzymskie ze znamionami prostémi, a odpowiedniémi brzmieniom każdéj mowy, zacóż my narzecze to żywe między nami, w którém tak rzadko jaki płód się objawia, mamy nieprzystępném sobie dla błahej powierzchowności uczynić? Postacie rzymskie, tak czyste, tak oddające każdy przygłos, ułatwiają nieskończenie naukę języków; środka tego użyli nawet uczeni missyjonarze, drukujący dla krajowców Południowego Morza texty pisma świętego w ich języku rzymskiemi czcionkami. Może tu kto powyższe myśli zbije powagą Greków, Rossyjan, Serbów i t. d., lecz na to odpowiém, że złe stare trudniéj wytępić, niż sprostować świeże zboczenie w ludzie, poczynającym zawód piśmienny.

Oto są uwagi, jakie nastręczyła sama powierzchowność tego dzieła, przejdźmyż do wewnętrznéj istoty onegoż. Wydawca w przemowie swojéj wyraża, iż starał się pozbiérać wszystkie obrzędy weselne i pieśni, lubo te tak są różne w każdéj niemal wiosce, i dał je porządkiem odprawującego się wesela, z nadpisami jak np: *Wowód*, *zaloty i zaruczyny*, *umowa o wino* (wiano), *drużyna wesilna*, *sprosyny* i t. d. Daléj, że mu dzieło Gołębiowskiego »Lud polski,« i »Zbiór Pieśni Wacława z Oleska« najwięcéj posłużyły. Z tego pokazuje się, iż nie wiemy, azali wydawca dał nam obraz wesela i weselnych pieśni w saméj Galicyi, czyli że ten pomysł rozciągnął na całe plemie Rusinów, osiadłe od Dniepru po San i Bieskiedy, od Bugu wzdłuż Polesia aż ku brzegom Dźwiny? Za piérwszém przypuszczeniem mówi to, iż wydawca, zamieszkały w Galicyi, może znać halickich Rusinów lepiéj, niż inne tego szczepu gałęzie; za drugiém zaś, przytaczane często w dziełku tém obrzędy na Ukrainie, Polesiu, Białorusi i t. d. nie własném staraniem zebrane, lecz z Gołębiowskiego, który także z drugich zbiérał. Żałować należy, że wydawca nie wymienił jaką pieśń gdzie słyszał, lub gdzie takowa jest śpiéwaną, jaki obrzęd, jaki obyczaj przywiązany do tego lub owego miejsca; a tą pracą byłby przekonał, iż więcéj sam zdziałał, niż z drugich skorzystał. Niedokładność ta, często spostrzegać się dająca w zbiorach pieśni gminnych, pochodzi z tego, iż zapominamy częstokroć do czego podobne zbiory służą; zapominamy, że one przyłożą się do poznania świata umysłowego ludu, i do wyśledzenia wpływów przez zlanie się pobratymczych plemion lub sąsiadów na język, na wyobrażenia, na obyczaje i zwyczaje. To com powiedział nie jest na potępienie dziełka tego, są to raczéj pomysły, do których powinnyby się skierować poźniéjsze w tym rodzaju prace miłośników sławiańszczyzny. Dziełko j.k. Łozińskiego samo się zaleca, każdy z czytelników miło je do końca przebieży, i poweźmie wyobrażenie jasne i żywe o téj poetycznéj chwili życia ruskiego ludu.

Nie pozostaje nic życzyć, jak, aby szanowny wydawca zajął się zebraniem innych obrzędów, zwyczajów, zabobonów, sposobów leczenia i t. d. używanych w gminie, a na téj drodze dostarczy bardzo ważnych źródeł do dziejów świata umysłowego téj najważniejszéj części narodu.

L. S.

— Ze Lwowa. —

O naszym ziomku K. Lipińskim, bawiącym na teraz w Frankforcie n. M., pisze *Journal de Francfort* co następuje: »JPan Lipiński, pierwszego rzędu artysta, rzęsiste ciągle odbiera oklaski. Rodzaj jego gry jest śmiały, lecz czysty. Zwolennik dawnéj szkoły, zachował nieskażony jéj styl, pełen szlachetności i mocy; nadaje smyczkowi swemu nadzwyczajną piękność, a grze coś klasycznego i skończonego. Pan Lipiński szczególniéj artystom i znawcom muzyki się podoba. Czyż można więcéj na jego pochwałę powiedziéć, gdy rzekniemy, że najwięksi jego wielbiciele pomiędzy najpiérwszymi znajdują się artystami, którzy z powołania swego najzdolniejsi są kierować opiniją publiczną.« (G. W.)

Kazimierz Wielki wydał r. 1336 następującą ustawę o weselach mieszczan Krakowa: »Ktokolwiekby wesele wyprawiał, nie powinno być na niém więcéj jak 30 mis, a do każdéj 3 osoby. Jeżeliby tam były panny, księża lub obcy, którzy nie są w posiadaniu prawa miejskiego tutejszego, albo którzy tylko do stołu służą, ci do téj liczby należéć nie mają. Każdy zaproszony na wesele i ci co mają prawo miejskie, da za siebie panu młodemu lub jego drużbie dwa grosze, a żona lub gospodyni drugie dwa grosze, każda zaś panna tylko jeden grosz dać powinna. Pięć dań, a najwięcéj sześć, może być na weselu, wreszcie nikt z panną zaręczoną nie powinien za domem tańcować, dopóki mu jako małżonka oddaną nie zostanie. Na weselu ma być tylko 8 kuglarzy, takich co spiéwają lub co wierszem opowiadają spiewy, którzy się zowią *Rimarii*, a ci kuglarze, którzy biorą płacę za figle nie przystojne, nié mają być wcale używani. Prócz tego, kiedy zaślubiona idzie do łaźni, nie powinna miéć z sobą więcéj nad 20 osób. — Także nie może iść więcéj za dziecięciem, niesioném do kościoła, nad 20 osób.

Stanisław Karnkowski, arcybiskup gnieznieński, prymas Królestwa, ozdoba duchowieństwa polskiego, sprowadziwszy do Kalisza jezuitów, swoim kosztem wystawiwszy im kolegium, kościoł i szkoły, często na publicznych popisach mawiał do swoich uczniów: »Te ręce niegdyś w piecu paliły, teraz królów maszczą głowy i wkładają im korony, te nogi boso chodziły, teraz na najwyższym stopniu dostojeństw w téj ojczyźnie stoją. Wiécież zkąd mi to przyszło? szczerze mówię ztąd, żem się zawsze najlepiéj uczył.« (K. K.)

W jednéj wsi obw. Stanisławowskiego, w Polszcze, przy wykopywaniu kartofli znaleziono jeden tak duży jak łeb jagnięcia, i mający zupełne do takiegoż łba podobieństwo, oczy, uszy, nozdrze i t. d.

W dodatkach Kuryjera Litewskiego napatrzéć się czasami można na dziwne ogłoszenia, odznaczające się bądź samym stylem, bądź trafnością przekładu. Tak, w jednym z ostatnich numerów czytamy ogłoszenie następujące: »Niżéj podpisana przypadkiem straciwszy trzecią część losu warszawskiéj loteryi 5. klasy N. 37,497, zatym aby kto inny za znajdzeniem nie mógł profitować w zdarzeniu wygranéj, a razem aby zgubiony bilet mógł być właścicielce powróciwszy się ogłaszam.« — W 161. numerze dodatków, w umieszczoném we dwóch języках, rossyjskiém i polskiém ogłoszeniu, o sprzedaży jakichś starych sprzętów i fortepianów, pozostałych po organistach, słowa *dwa fligelia i raznyja knigi*, wytłómaczono przez dwie oficyny i różne książki. Poczciwi kandydaci do kupna domów, bardzo się zadziwią, spostrzegłszy, że zamiast oficyn, parę roztrojonych kupili pudeł fortepianowych. (G. K.)

W ostatnich numerach pisma niemieckiego *Militarisches Wochenblatt* znajduje się obszérna bijografija feldmarszałka Schulenburg, który był długi czas w służbie Augusta II. króla polskiego, i pod Poznaniem oddział wojska szwedzkiego porządnie przetrzepał. W bijografii téj, ułożonéj według rękopisma pozostałego po feldmarszałku Schulenbergu, znajduje się wiele szczegółów, tyczących się wojny szwedzkiéj w Polszcze za czasów Karola XII. (G. P.)

Z Węgier. Węgierska akademija umiejętności w Peszcie w d. 13. września obchodziła, pod prezydencyją hrabiego Józefa Teleki, swoje czwarte posiedzenie śród licznie zgromadzonych osób płci obojéj. Po zdaniu sprawy o czynnościach towarzystwa w roku zeszłym, któremu publiczność winna wydanie niemiecko-węgierskiego słownika, czytano wiele rozpraw historycznéj i literackiéj treści, jako to: czcigodny weteran węgierskich badaczów przyrody hr. radzca Jan Deresényi składał próby różnych kruszców, dotąd niewynajdywanych w Węgrzech, między któremi były okruchy platyny; daléj hr. Józef Dessőffy uczcił pochwałą pogrzebową zmarłego członka barona Wincentego Berzewitzy. Żywe zajęcie wzbudziły także udzielone szczegóły o badaczu azyjatyckich starożytności, sławnym Alexandrze Csoma de Kőrös, o którym donosił sekretarz azyjatyckiego towarzyst. w Kalkucie, iż do swojéj ojczyzny (Węgier) przeznaczył 50 egzemplarzy gramatyki i słownika tybetańskiego, które wydał. W końcu zdawano sprawę o wyznaczonych nagrodach, i ogłoszono na r. 1835 nagrodę 100 dukatów za najlepszą rozprawę o stanie rękodzieł i handlu w Węgrzech w okresie, w którym panowali królowie arpadzkiego domu, i o zastosowaniu wyższéj analizy do umiejętności technicznych. Swietny obiad na 70 osób, dany przez zasłużonego w swojéj ojczyznie hr. Stefana Szecseni, zakończył tę uroczystość, uwieńczającą usiłowania i prace naukowe.

P. Eliade, wydawca Wołoskiego Kuryjera w Bukareszcie, znany jako tłumacz wołoski »Dumań« Lamartina i »Fedry« Rasynowéj, pracuje teraz nad narodowym poematem bohatérskim, którego główną osobą jest *Michail Woda Witeczlia* (Michał wojewoda Chrobry), żyjący w 12tym wieku.

Kokczi-Seraj słynie w całéj Rossyi swojémi rajskiemi ogrodami. Podróżny dziwi się natrafiając tam w miesiącu czerwcu na leżące śniegi na polu, lecz przyszedłszy bliżéj, przekonywa się, iż to jest słone jezioro, które w lecie wysycha, i całą przestrzeń okrywa solą. Mieszkańcy zgartują tę sól, składają w wory i rozwożą.

Już za czasów kronikarza Froissard wynalazek prochu wielki wywiérał wpływ na sposób prowadzenia wojny; jednakże działa wielkiego wagomiaru i wtedy i późniéj nawet, były w stanie wielkiéj niedoskonałości. Ogrom i cięźar dział utrudniał spieszny pochód; najwięcéj trzy lub cztéry razy na dzień można było z działa wystrzelić, a każdy strzał był równie kosztowny jak niepewny. Jeszcze w czasie oblężenia Magdeburga (r. 1631) dano 1550 strzałów armatnich do jednego muru, lecz skutek prawie był żaden. Gdy tymczasem późniéjsze udoskonalenie artyleryi do tego doszło, iż najmocniejszy mur w twierdzy, jednéj bateryi oprzéć się nie zdoła. Nizkie bastijony i wały zajęły miejsce ogromnych wież i murów średnich wieków. Pomimo umniéjszonego wagomiaru dział, cała korzyść przeszła na stronę oblegających, tak, że ostateczny termin metodycznie prowadzonego oblężenia z pewnością naprzód wyrachowany być może. Dzięki więc niebu, że dziś już mniéj zdarzają się przykłady takich okropności, na jakie oblężone miasto w starożytności wystawionem bywało.

W teatrze francuzkiéj opery pilnie uczą się nowéj kompozycyi Majerbeera, która w styczniu pokaże się na scenie. Cuda prawią o téj operze, szczególnie o masie tonów, jaka się w chórach rozwinie. Między innémi będzie tam chór ze sto osób złożony, z którego brzmieniem wtorować będzie ogień plutonowy. W jednym tercecie dadzą się słyszéć najpiękniejsze głosy w Paryżu, to jest panny Fallon, Doris gras i Flecheux. Dekoracyje będą

w kolosalnych rozmiarach; p. Dupouchel, dyrektor opery, uwagę swoję zwrócił mianowicie na wierność historyczną, tak, że Paryż z r. 1580 przedstawi się w całej barwie i życiu oczom widzów. Wszystko wróży najlepsze powodzenie téj sztuce, która godna będzie twórcy: Roberta diabła, Krzyżaków i t. d.

W Paryżu pojawił się utwor muzyczny: *Adieu à ce monde;* mato być spiéw łabędzi Belliniego, napisany w ostatniéj chwili jego życia. W utworze tym przebija się melancholijna tęsknota, i smutne przeczucie zbliżającéj się śmierci.

Jeden z Noworoczników francuzkich na r. 1836 został przez zwierzchność zakazany z powodu jedynéj ryciny, wyobrażającéj przedającego tabakę z dwoma swémi pomocnikami, którym odważając ten pokarm dla nosa, te słowa powiada: »To co mię kosztuje 8 sous, przedaję wam za 4 franki.« Albożto nie uczciwie?!

Po pięknych oczach nic nie jest tyle powabném u kobiety jak piękne usta, białe zęby i łagodny wonny oddech. Lecz niestety! przyroda nie jest zbyt rozrzutną témi darami, chociaż innych czasami nie skąpi. Z tego powodu wynalazek pewnego angielskiego lekarza w Paryżu, pa. Addison, wielką ma ważność; jestto wyborny proszek do zębów, którym naciérając takowe natychmiast stają się białémi, a razem zapobiega on pruchnieniu kości i oddechowi przyjemną woń nadaje. Zbiegowisko do tego źródła piękności jest niezmierne.

Nowo wynalezione i patentowane strzelby Robertoskie w Paryżu codziennie większéj nabywają wziętości. Do nabijania nie potrzeba stępla, i bez niebezpieczeństwa można z takiéj strzelby 15 razy wypalić na jednę minutę. Użycie tego rodzaju broni najlepiéj da się zastosować na polowaniu.

W r. 1833 zdarzyło się we Francyi 4501 przypadkowych śmierci, 1970 samobójstw i 90 odprawiono pojedynków, w których 32 osób zginęło. Rachunek ten na r. 1834, a tém bardziéj na r. 1835 daleko większy będzie.

Nowe postrzeżenia nad elektrycznością atmosfery. Fizyk Peltier przełożył paryzkiéj akademii umiejętności swoje postrzeżenia nad elektrycznością atmosfery. »Wilgoć w ziemi będąca (mówi on) zabiéra przy swém ulotnieniu się dodajną (*positive)* elektryczność z ziemi, a zostawia jéj elektryczność ujemną *(negative).* O godzinie 2giéj po południu elektryczność ziemi dochodzi najwyższego stopnia, udziela się ona niższéj warstwie powietrza ziemię oblewającego, budynkom i innym przedmiotom tak dalece, iż przy suchym i ciepłym czasie najwyższe nawet budynki są w stanie bardzo mocnéj ujemnéj elektryczności. Gdy się zaś zaczynają tworzyć chmury, których elektryczność zwykle jest dodajną, to te jeszcze bardziéj powiększają ujemną elektryczność niższéj warstwy powietrza ziemię oblewającego i w tym stanie ją utrzymują. Ale piérwsze już krople opuszczającego się dészczu zobojętniają (neutralizują) ujemną elektryczność ziemi, a to przez dodajną elektryczność, którą z sobą prowadzą. Z tąd następuje to, że wyższe warstwy powietrza więcéj są nasycone elektrycznością, aniżeli ziemia, i że przysyłają swą elektryczność ziemi przez wszystkie dobre przewodniki, budynki, drzewa, a nawet i przez nasze własne ciało. Na dniu 4. września piękna była pogoda przy wysokiéj temperaturze, a ziemia pokazywała aż do godziny siódméj wieczorem elektryczność ujemną. W tém zaczęły się wznosić wyziewy, niebo się nieco zachmurzyło, i dészcz przekapywał pojedyńczémi kroplami przez pół godziny. Za piérwszą już kroplą *multiplikator,* mierzący natężenie elektryczności, zaczął pokazywać, że ujemna elektryczność przepływała z powietrza w ziemię; niebawem też ujrzałem ciągły przepływ iskier pomiędzy cienkim metalowym drutem wyprowadzonym po nad komin, a *multiplicatorem,* mającym komunikacyję z dnem studni. Ta gra iskier wskazała, że powietrze po nad domem było przejęte znaczną ilością ujemnéj elektryczności. W oddaleniu 6 cali od druta metalowego, zostały wprawione w elektryczny ruch złote listki *elektroskopu,* chociaż drutowi dano tylko 1/5 milimetra grubości, aby uniknąć wszelkiego niebezpieczeństwa. Przepływ ten trwał 20 minut, potém następnie wolniał, aż nareszcie zupełnie ustał; dészcz wzmógł się, a galwanomiérz po kilku jeszcze zmianach przybrał zwyczajne położenie i pokazywał elektryczność ziemi ujemną, lecz bardzo słabą. Ten mocny przepływ elektryczności przy początkowém opuszczaniu się dészczu tłómaczy nieprzyjemne uczucie, którego nieraz w lecie przed spadnięciem dészczu doznajemy.«

MacDonnel, największy gracz w szachy. Miłośnicy gry w szachy powinni opłakiwać zgon Alexandra M'Donnela, który w 37 wieku, po krótkiéj chorobie zeszedł. Był on nie tylko najlepszym swego czasu graczem w szachy, ale i najlepszym jakiego miała Anglija po Filidorze. Lecz talent jego nie ograniczył się na téj jednéj sztuce; M'Donnel wydał szacowne dzieła o ekonomii politycznéj, o stosunkach z zachodniémi Indyjami i o handlu z zagranicą w powszechności; jasnym stylem swoim wyświécał najgłębsze o rzeczach pojęcia. Kluby szachowe w Westminster i Londynie, do których należał, boleją nad jego stratą. Byłto ten sam M'Donnel, który przed rokiem w klubie westminsterskim grał 100 partyj szachów z panem de la Bourdonnais. W udzielaniu się z radą był on najłatwiéjszym, żaden nauczyciel gry w szachy nie miał ani tyle cierpliwości, ani krwi zimnéj. M'Donnel nie zostawia po sobie nikogo, coby go zastąpić mógł godnie.

Angielski chochlik domowy. Duch ten znany dobrze angielskim wieśniakom lubi przesiadywać w mieszkaniach wiejskich, gdzie zwykł pławić i karmić konie. Zwykle jednego lub dwa konie bierze w swoję szczególną opiekę. Budzi leniwych parobków, i nade wszystko lubi przewracać i ruszać z miejsca sprzęty domowe. Wyrządzając jaką psotę zwykle śmieje się rzącym głosem. Chochlik ten zawsze jest niewidzialnym, wyjąwszy gdy się czasami w konia przerzuca, i wtedy osiodłany i zauzdany pokazuje się pod lasem; ale biada temu ktoby go dosiadł! bo natychmiast puszcza się czwałem, dopóty wiérzga i skacze, pokąd jeźdzca swego w bagno nie zrzuci i z szatańskim nie ucIecze śmiechem.

Anegdota. Uczeń pewnego uniwersytetu, poświęcający się naukom przyrodzonym, przyszedł do profesora fizyki z prośbą, aby ten mu czas wyznaczył, w którymby mógł swój examen złożyć. Profesor, człowiek uprzejmy i łatwy, odpowiedział uczniowi, iż jeżeli czuje się na siłach, natychmiast może popisać się z tém, co umie. Młodzieniec zgodził się na to chętnie; zasiedli więc. »Powiesz mi wćpan, jakie są przyczyny zorzy północnéj?« zagadł profesor. Uczeń zmieszał się nieco, zaczął myśleć, myśleć, w końcu zająkując się i rumieniąc wyznał, iż wiedział to najdokładniéj, ale zapomniał. »Zapomniałeś! nieszczęśliwy! co za strata dla nauk!« krzyknął profesor. »O młodzieńcze, tyś jeden posiadał tajemnicę, o któréj dotąd nikt nie wiedział; i tobie było ją zapomnieć!«

Mody. Na balach w Fontainebleau pokazało się wiele turbanów. Najpiękniéjszy był z atłasu *brokartu* w szérokie wiszniowe i białe pasy, opleciony wązkim sznureczkiem złotym. Nie mniéj świetny turban był *à l'Izraelite z gaze princesse.* Znowu zaczynają nosić złote łańcuszki w około czoła, co służy i do codziennéj toalety; w łańcuszkach tych nie powinno być drogich kamieni.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.